

PRZEWODNIK KATOLICKI



Redaktor:

X. Stanisław Ciążyński
w Poznaniu.

Telefon Redakcji: 2678.

Pismo ilustrowane dla Rodzin katolickich.

Bezpłatne dodatki:

„Dom Rodzinny“, „Słowo Boże“ i „Opiekun Dziełtek“.

Adres dla wszelkich przesyłek:

„Przewodnik Katolicki“

Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Kat.“ w ekspedycji i w agencjach 100 m., na pocztę 140,00 m. Wysyłany z ekspedycji pod opaską 160,00 mk. „Przewodnik“ zapisany jest na pocztę jako „Przewodnik Katol.“ Poznań. — Cena ogłoszeń 60,00 mk. od wiersza drobnego.

Nr. 24.

Poznań, dnia 11 czerwca 1922 roku.

Rok XXVIII.

KRÓL I OJCIEC UBOGICH.

Złota monstrancja z hostją białą, Jezus Chrystus w Najśw. Sakramencie jest codziennie przedmiotem czci i uwielbienia w kościołach naszych. Ale w szczególniejszy sposób czci Go lud wierny w okolicy Bożego Ciała. W procesji uroczystej po ludnych miastach i cichych wioskach naszych przez ośm dni każdego poranku i wieczora kapłan niesie pod baldachimem w monstrancji błyszczącej Boga i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, a wszystkie stany i wszystkie warstwy społeczne począwszy od monarchów i magnatów a skończywszy na biednym robotniku i słudze stają się wtedy jedną rzeczą Chrystusową o jednym sercu, uczuciu, jedną myślaną: dać świadectwo prawdziwe, że Chrystus żyje wśród nas, choć ukryty w swych tajemnicach, i oddać Mu cześć, chwałę i hołd powinny jako Panu i Bogu naszemu.

Przedziwna Tajemnica Ołtarza!

Ten wielki i w swym majestacie nieogarniony Bóg, Pan wszego stworzenia, w jakim ukazuje się poniżeniu. Ten, co ongi objawił się Izajaszowi na tronie wspaniałym, otoczony milionami Aniołów, który sprawiedliwym Starego Zakonu ukazywał się zawsze w chwale majestatu, do którego z drżeniem i lękiem niewymownym zbliżał się arcykapłan w przybytku najświętszym, prawdziwy Bóg żyje w najgłębszym ukryciu, w największym ubóstwie, w cichości i poniżeniu.

Już podczas ziemskiego swego pobytu Bóg-człowiek umiłował i pełnił ubóstwo. W ubóstwie nie w swojej chatce przyszedł na świat; ubogą jego

matka św. Dziewica; ubogim mniemany ojciec święty Józef. A jak żył tak umarł ubogim, nie na własnym łożu, ale na krzyżu, postawionym za pieniądze z publicznego skarbu. A towarzystwem Jego to ubodzy rybacy-uczniołwie, to tłumy ubożego ludu, który chciwie słuchał nauki Jego czując, że znalazł w nim swego Zbawiciela.

W życiu eucharystycznym to ubóstwo Jezusa jest jeszcze doskonalsze.

Ubogim jest pod nikłą osłoną sakramentalną. Ta osłona nawet nie należy do niego, jest tylko szatą

pożyczoną, postacią chleba. Ubogi jak często przebywa w kościołach ubogich, w szopach nędznych, w domach chylących się do upadku, zwłaszcza wtedy, gdy nienawiść świata prześladowuje wyznawców Jego religii.

Z ilu to świętyń wzniesionych pobożnymi rękami ojców naszych Zbawiciel został wygnany przez zwycięskich najeźdźców lub wła-



Boże Ciało.

sne zdrażające Go dzieci. Ileż to razy świętokradzkie ręce zbrodniarzy sięgają po złote naczynia kościelne, te nieme świadectwa wiary i ofiarności przodków naszych, a Jezus bez słowa skargi pozwala na to!

Stał się doprawdy królem i ojcem ubogich.

A ten ciągły przykład Jego ubóstwa i wyrzeczenia jest nieustającym protestem przeciwko tej przekłętą żądzy pieniędzy, jaka ogarnęła serca ludzkie a prowadzi do rozluźnienia wszelkich stosunków religijnych i społecznych, do nienawiści, rewolucji i krwi rozlewu.

Szkoła wyznaniowa.

Komitet obywatelski, który w r. 1891 założył na obszarze b. zaboru austriackiego „Towarz. Szkoły Ludowej”, wywiesił hasło, że „oświata jest siłą narodów, pierwszą i ostateczną podstawą ich powagi moralnej, dobrobytu i znaczenia.” Jest to prawda, ale niezupełna. Bo jak słusznie powiada Sienkiewicz: „oświata sama wychowa tylko złodziei i bandytów.” By dzieci wychować na dobrych i cnotliwych ludzi, nie wystarczy tylko je oświecić i wpoić im w pamięć jak największy zasób wiadomości. Samo uczenie i sama oświata może nawet wielkie szkody spowodować. Można być bardzo wykształconym i mówić kilku językami i czytać wiele pism i książek i znać się na wszystkich niemal rzeczach, a przytem jednak być człowiekiem dzikim i nieuczciwym. Jeżeli bowiem ktoś jest złym i zepsutym, a przytem wysoko wykształconym, to jego mądrość i oświata mogą mu do tego posłużyć, że będzie tem przebieglejszy w kłamstwie i oszustwie, tem przewrotniejszy we wszystkich swych słowach i czynach.

Jeżeli ze szkoły wyjść mają ludzie nie tylko światli i umiejący, ale także uczciwi i szlachetni, trzeba, żeby szkoła nie tylko uczyła, ale i wychowywała, nie tylko oświecała rozum, ale i kształciła serce, nie tylko podawała wiadomości, ale i zaprawiała do pełnienia cnot; trzeba, żeby uczyła, jak i dlaczego należy opanowywać swe złe namiętności: jak pokramiać w sobie gniew i lenistwo, łakomstwo i nieuczciwość, zazdrość i zemstę, pijaństwo i bezwstyd; jak natomiast kochać i ćwiczyć się w pilności i życzliwości, w sprawiedliwości i czystości, w sumienności i wstrzeźliwości.

Co zaś najwięcej dopomaga do takiego uszlachetnienia serca i udoskonalenia charakteru? Bez wątpienia religja Chrystusowa. Ona wychowuje prawdziwych bohaterów i męczenników cnoty, ona wychowuje najsilniejsze charaktery, ona prowadzi na wyżyny świętości i doskonałości i nieraz ludzi w aniołów zamienia. Ona umysł oświeca najjaśniejszym światłem nauki Chrystusowej, wolę zapala przykładem życia Zbawiciela i Świętych, zniewala do cnot choćby najwięcej ukrytych grozą kary i obietnicą nagrody Boskiej, serce oczyszcza i uszlachetnia i uświęca nadprzyrodzoną łaską Sakramentów św. Czy więc może szkoła tą pomocą religji wzgardzić, a jednak dzieci wychowywać na uczciwych i na wskroś zacnych ludzi?

Kto tak twierdzi, ten przeczy doświadczeniu dziewiętnastu set lat Kościoła św. Może niedowiarek nazwać głupimi ludzi, którzy ze względu na Boga i na wiarę św. są uczciwi i święci, ale nikt nie może zaprzeczyć, że religja Chrystusowa wychowała i wychowuje i zdolna jest wychować najlepszych i najzacieńszych ludzi.

Jeżeli to jest prawdą niezaprzeczoną, to czy może jeszcze kto religję chrześcijańską jako czynnik wychowawczy sobie lekceważyć? Czy może mówić, że szkoła bez religji, szkoła świecka, bezwyznaniowa lub mieszana, tak samo dobrych ludzi wychowa, jak szkoła z religją, jak szkoła wyznaniowa? Dziwić się istotnie trzeba, jak mogą znaleźć się tak płytko myślący czy nieszczerzy ludzie wykształceni

a nawet nauczyciele i wychowawcy, którzy twierdzą, że są katolikami i chcą młodzież wychować na cnotliwych ludzi i prawych obywateli, a jednak wołają: „Precz ze szkołą wyznaniową, precz z religją w szkole!” Kto tak woła, ten albo sam nie wierzy, albo jest obojętny względem wiary św. Kto tak woła, ten chce zabrać szkole najskuteczniejszy środek wychowawczy; ten sprzeciwia się wyraźnej woli i przepisom Kościoła św., ten dla nikłych i pozornych korzyści wyrównania pewnych różnic pomiędzy dziećmi i obywatelami, odrzuca korzyści i skarby, stokroć droższe i cenniejsze, ten przygotowuje grunt pod odchrześcijanienie i spoganienie świata; ten pracuje na rękę żydostwu, masonerii, bolszewizmowi i wszelkim potęgom rozkładowym; ten nie pracuje dla postępu i cywilizacji, lecz dla anarchji, dla zdziżenia i barbarzyństwa powszechnego.

Czy chcemy tego? Czy chcemy, żeby tłumy ludu wyrzute z religji, a rozbestwione podniecaniem żądzami używania, rzuciły się na istniejący porządek i zniszczyły wszystko, a potem pozbawione swych przewodników, zgłodniałe, spodłone, dzikie, same się pożerały lub stały się niewolnikami bolszewicko-żydowskich komisarzy? Choćby nawet ktoś sam nie wierzył i dlatego miał niechęć do religji i ze szkoły chciał ją wyrugować, jeżeli jest dobrym Polakiem, nie, jeżeli jest dobrym człowiekiem, pod żadnym warunkiem nie powinien przykładąć ręki do tak zgubnego dzieła. Powinien mu raczej ze sił swoich wszelkim zakusom wrogów przeciwdziałać. A najskuteczniejszym waleń obronnym przeciwko tej nawale zniszczenia i spodlenia ludzkości jest zaszczerpianie w młode serca nowych pokoleń zasad religji Chrystusowej nie tylko w domu rodzicielskim, ale i w szkole. Innemi słowy, szkoła powinna być, tak jak Kościół św. sobie tego życzy, wyznaniowa.

A kiedy szkoła jest wyznaniowa? Szkoła katolicka, o którą nam tu chodzi, jest wtenczas wyznaniowa, jeżeli po pierwsze wszystkie dzieci do niej uczęszczające są katolickie; jeżeli powtórze wszyscy nauczyciele i nauczycielki są katolikami; jeżeli po trzecie nauka i wszystkie książki szkolne w niczem nie sprzeciwiają się prawdzie wiary katolickiej; jeżeli po czwarte szkoła popiera także życie religijne dzieci według przepisów Kościoła św. czy to w uczęszczaniu na nabożeństwa, czy w przystępowaniu do Sakramentów św., czy w innych praktykach religijnych; wreszcie po piąte, jeżeli nauka religji i całe religijne wychowanie pozostaje pod nadzorem władzy kościelnej.

Tylko nauka i wychowanie w takiej szkole da nam ludzi dzielnych i duchem silnych. Tylko taka szkoła wyrzeźbi nam charaktery czyste jak kryształ, mocne jak granit; charaktery pełne zapału, pełne poświęcenia, miłości bliźniego, zacności i wszelakiej cnoty.

Więc takiej szkoły musimy się głośno i wyraźnie domagać. Taką szkołę musimy sobie koniecznie wywalczyć. W katolickiej Polsce tylko katolicka szkoła wyznaniowa będzie ostoją państwa i źródłem wszelkich cnot i wszelakiego dobra.

J. K.



Z dziejów czci Najśw. Sakramentu.

Wiara nas uczy, że od chwili Wniebowstąpienia Pań Jezus jako Bóg-Człowiek w osobie Swojej przebywa w niebiesiech. Czy tylko w niebiesiech jest obecny? Nie — Jezus jako Bóg-Człowiek jest również obecny w chwale Swego człowieczeństwa w Najśw. Sakramencie — jedynie sposób, w jaki Jezus przebywa na ziemi sakramentalnie jest inny od sposobu, w jaki Jezus przebywa w niebiesiech. W każdym razie wynika jasno, że Jezusowi w Najśw. Sakramencie utajonemu pod postacią chleba i wina należy się cześć najwyższa, cześć Boża. Na tej zasadzie opiera się t. zw. kult eucharystyczny od zainicjowania chrześcijaństwa aż po nasze wieki. Każda epoka w dziejach Kościoła dorzuciła do tej czci pewne właściwości — pierwsze wieki starożytności chrześcijańskiej pomimo prześladowań doprowadziły do jawności czci Najśw. Sakramentu; średnie wieki położyły podstawę pod cześć powszechną Najśw. Sakramentu, a nowsze czasy przekształciły cześć tę jawną i powszechną w kult stały, ujęty w pewne przepisane lub ułożone formy.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwo ukrywać się musiało przed przemocą państwową jako nie uznane urzędowo zgromadzenie religijne. Rozumiemy to dobrze, bo przecież chodziło o walkę władz państwowych w obronie bałwochwalstwa z prawdą Chrystusową, z prawdą Bożą, przedstawianą przez ubogich rybaków palestyńskich, wyznawaną przez najniższe nieraz warstwy społeczne. Nie równa to była walka — ale nierówność kazała przezornie według myśli Jezusowej chronić Najśw. Sakrament jako skarb najdroższy od pohańbienia i zniewagi.

Stąd to poszło, że początkowo nie przechowywał się Najśw. Sakrament stale na ołtarzach lub w innych na to przeznaczonych miejscach; obawa zniewagi na to nie pozwalała.

Stąd to też poszło, że nawet i ci, którzy chcieli przyjąć wiarę Chrystusową i gotowali się do chrztu św., nie od razu wprowadzali się w znajomość wszelkich prawd chrześcijańskich; że więc nie od razu zaznajamiali się z tajemnicą Najśw. Sakramentu.

Stąd to poszło także, że msza św. dzieliła się na dwie nierówne co do treści i formy części; że na pierwszej części aż do skończenia ewangelii byli obecni wszyscy; że po ewangelii opuścić musieli zebranie ci, co nie byli jeszcze ochrzczeni; że więc z ofiarowaniem rozpoczynała się t. zw. msza wiernych, że w niej to dopełniała się konsekracją tajemnica Najśw. Sakramentu.

Byłoby jednak błędem sądzić, jakoby Najśw. Sakrament żadnej czci nie odbierał w obrzędowy sposób. Cześć ta wszakże ograniczała się na życie zewnętrzne w kościele — a więc na życie naznaczone przede wszystkim gorącością wiary i głębokim przekonaniem o prawdzie wielbionej. Obrzędowym znakiem czci takiej był pocałunek, jaki kiedyś biskup oddawał postaciom eucharystycznym, które mu przedkładał diakon, gdy biskup się zbliżał do ołtarza, aby odprawić mszę św. razem z kapłanami. Pamiątką tego obrzędowego hołdu dawnego jest dzisiaj adoracja, jaką biskup oddaje Najśw. Sakramentowi, kiedy uroczystie idzie do pontyfikalnej mszy św.

Objawem czci obrzędowej był dawny zwyczaj, który wykazywał na zewnątrz wiarę w jedność

ofiary mszy św. Otóż cząstka hostji ze mszy św. ułamywała się i posyłała przez biskupa innemu biskupowi na znak jedności i pokoju. Cząstka tej hostji wpuszczała się w kielich i spożywała przy komunii św. Łamanie hostji św. dzisiaj podczas mszy św. po Pater noster jest śladem owego wzniesłego zwyczaju.

Jedność nie mniej wszystkich wiernych stwierdzała się w czci Najśw. Sakramentu przez to, że wszyscy obecni przystępowali do Stołu Pańskiego, że nieobecnym rozsyłano komunję św. przez umyślonych posłańców, czy to diakonów czy akolitów. Wszyscy wspólną miłością gorzeli, bo rozpalali tę miłość przez udział w Sakramencie miłości.

Odbierał więc cześć Najśw. Sakrament, cześć cichą, ale pełną wiary żywej — jednoczącej wszystkich w Kościele w jedno wielkie ciało mistycznego Chrystusa, w jedno ciało miłości, ożywione łaską niebiańską. Na zewnątrz skarb tego strzeżono przed zniewagą jakoby żrenicy w oku — na zewnątrz symbolem czci był krzyż, ten sam krzyż, który dotąd był środkiem kary najhaniebniejszej, stąd był przedmiotem pogardy. Dla chrześcijan był wszakże krzyż znakiem triumfu, dowodem zwycięstwa Chrystusowego, stąd też krzyż był i został wyrazem religii Chrystusowej. Jak daleko rozwinęła się cześć krzyża, wykazują przejmujące dzisiaj obrzędy w Wielki Piątek, kiedy adoracje najpokorniejsze oddaje się krzyżowi, rozłożonemu przed stopniami ołtarza kościelnego.

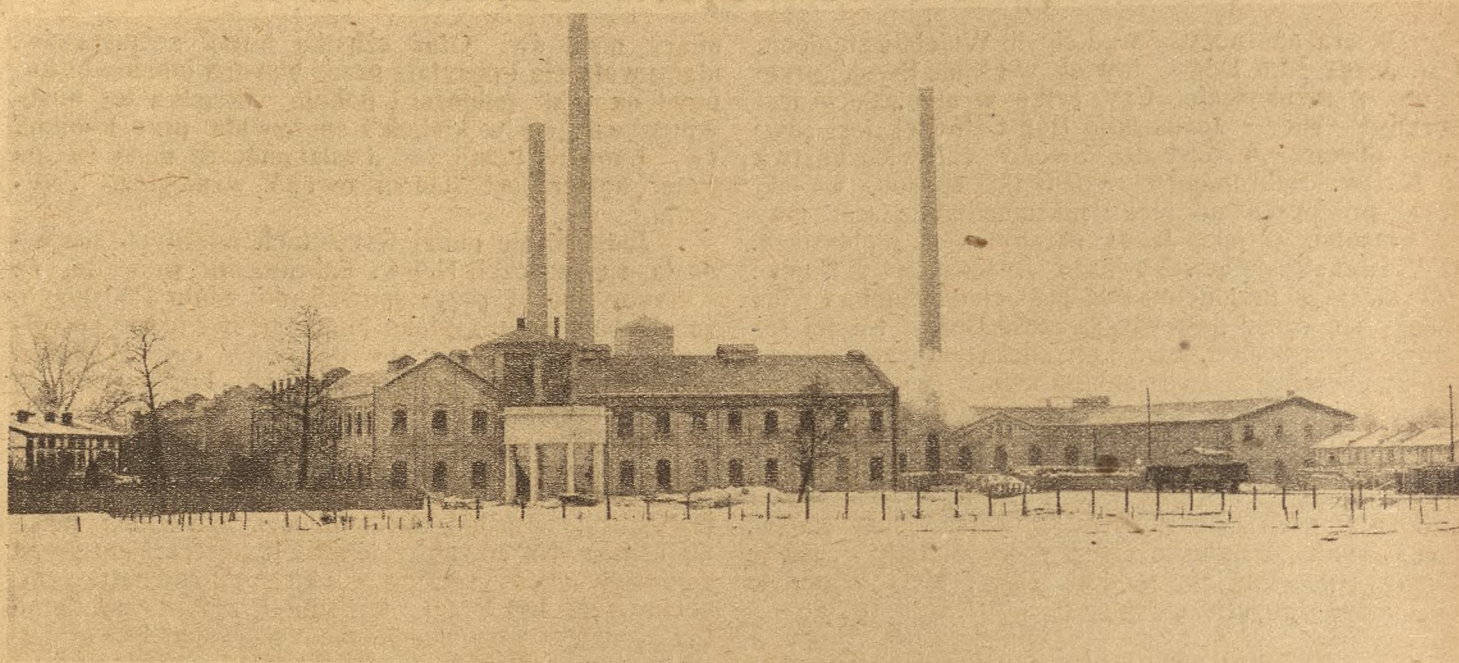
Jeśli w pierwszych trzech wiekach Najśw. Sakrament czcił się w cichości i chronił przed zniewagą, to od czwartego wieku, od epoki cesarza Konstantyna dokonywa się przełom w kulcie eucharystycznym. W zmaganiach z bałwochwalstwem pogaństwa Kościół Chrystusowy odniósł zwycięstwo — właśnie era Konstantyna czasy te zwycięstwem się rozpoczynają.

Odtąd Najśw. Sakrament nie czcił się już w podziemiach ani w prywatnych domach ani gdzieś po zaułkach, jeno czcił się w coraz to wspanialszych bazylikach, które wszędzie powstają — a dzisiaj pomimo zmian są podziwem wszystkich, czy to chodzi o kościoły św. Marka w Wenecji, czy o św. Apollinarego w Rawennie czy to o kościoły rzymskie, czy to o bazyliki jerozolimskie lub betlejemskie.

Dotąd co prawda obrzędy kościelne były dość proste, jak tego dowodem nasz ryt łaciński w Rzymie; z czwartym jednak wiekiem rozpoczyna się rozwój obrządków tak na zachodzie jak wschodzie odrębnych. Wszędzie się tworzą tam, gdzie miasto osobliwsze dla Kościoła posiadało znaczenie. A więc powstają w Antyochji, pierwszej stolicy biskupiej św. Piotra, powstają w Jerozolimie, gdzie biskupem był św. Jakób apostoł; powstają w Aleksandrii, gdzie św. Marek działał, uczeń św. Piotra; powstają w Konstantynopolu, nowej stolicy państwa rzymskiego, bo na korzyść tamtejszego biskupa zrzekają się swych przywilejów wybitne biskupstwa w Heraklei i Cezarei. Obok obrządku rzymskiego powstaje na zachodzie w północnych Włoszech, w południowej Francji, w Hiszpanii obrządek galikański, charakteru wschodniego, lubo w języku łacińskim; szczątki tego obrządku do dzisiaj się zachowały w Mediolanie i w Toledo.

X. W. H.

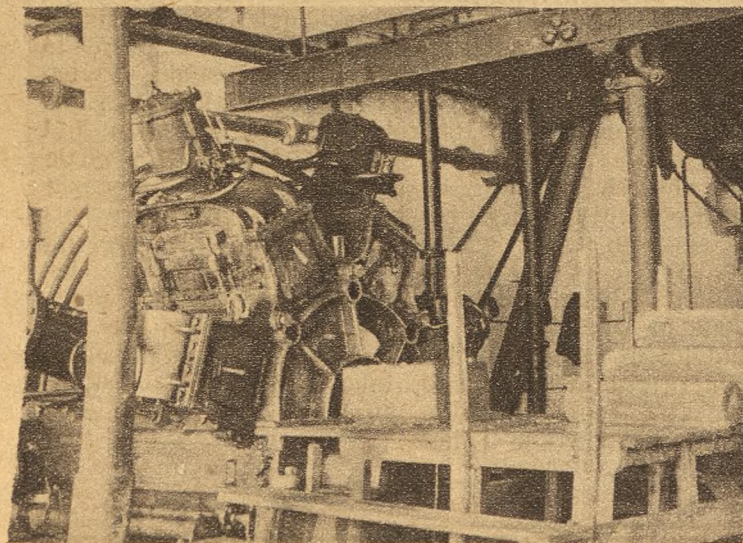
(Ciąg dalszy nastąpi.)



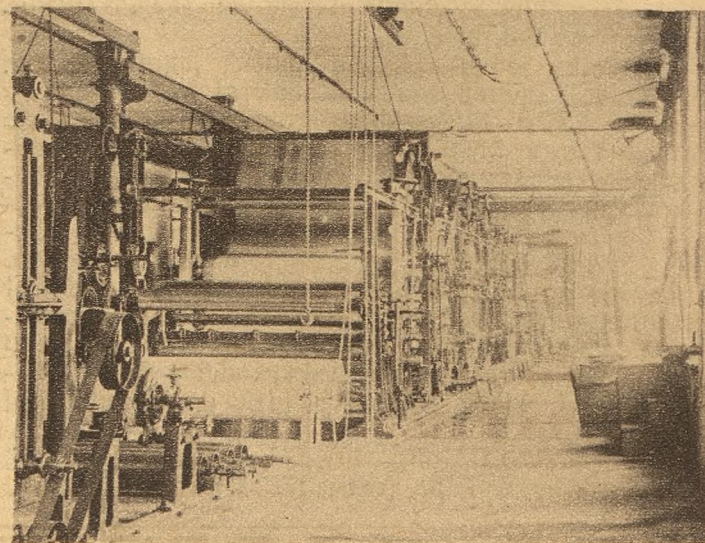
Widok ogólny papierni Steinhagen-Wehr i Ska w Myszkowie pod Zawierciem.

Oto widok fabryki, która wydawnictwu naszemu dostarcza papieru. Polska naogół jest dość uboga w papiernie, posiada ich bowiem ledwie dziesięć o 30 maszynach, a z tych kilka wyrabia jeno bibułki na obłonki (gilzy) i tekturę. W Wielkopolsce prócz małej fabryczki w Ostrzeszowie istnieje wielka papiernia w Bydgoszczy, ale ona nie wystarcza nawet na potrzeby naszej dzielnicy. Przyczyna tego słabego rozwoju przemysłu papierniczego spowodowana jest brakiem surowca. Cóż jest surowcem w papierniach? Dawniej były to szmaty, tem cenniejsze, im bardziej zużyte; teraz gałganów używają do przerobu na papier bibułkowy lub banknotowy, ale nie na gazety i książki. Upowszechnił się natomiast inny materiał surowy, mianowicie **drzewnik** czyli **celuloza**. Jest to część drzewa, którą otrzymują w specjalnie w tym celu urządzonych zakładach po oderwaniu kory i odciągnięciu żywicy i po oddziaływaniu na drzewo ługiem i chlorem. Celulozę w postaci mniej więcej podobnej do tektury, dostarcza

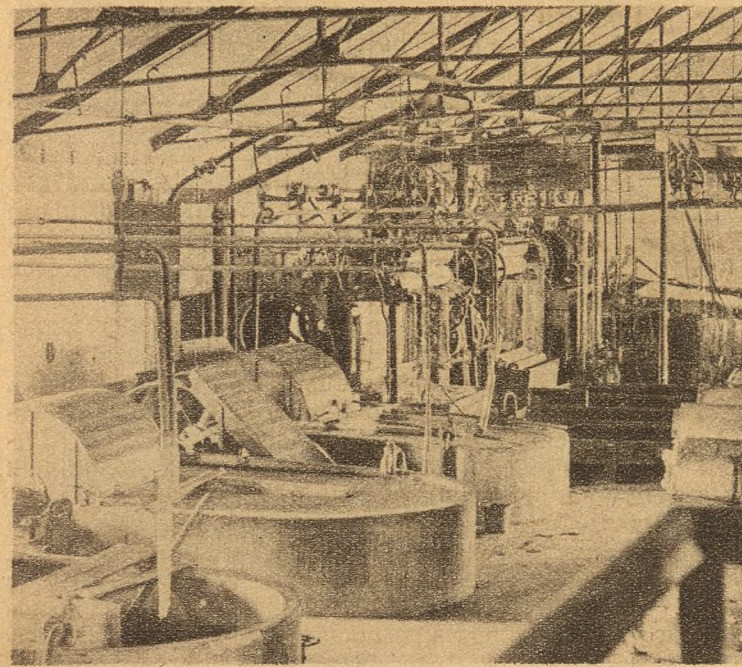
się właściwym papierniom, gdzie zmieszana bywa z masą drzewną. Te masę robią w tarniach, trą drzewo na drobne cząsteczki, rozdrabniają na włókienka w t. zw. holendrach, obdarzonych walcem i nożami służącemi do szarpania. Potem te cząstki bieli się, odwadnia, przelewa do kadzi, miesza z celulozą, powstała stąd jakby papka odprowadzana jest na siatkę ruchomą, gdzie następuje przy trzęsieniu ciągle układanie się włókien i pewne osuszenie. Późem już nieco gęstszy materiał papierowy przechodzi między filc welniany a walce, których bywa cały szereg, znowu się osusza, przechodzi przez t. zw. gładziarki, i w ruchu jest odcinany w wielkich rolach. Papier po zdjęciu z walców powinien być tak twardy, żeby przy uderzeniu wydawał dźwięk podobny do dzwona. Materiał do celulozy najlepszym jest świerk i właśnie tam powstać powinny fabryki celulozy, gdzie panuje obfitość świerków, więc na Litwie lub w Małopolsce południowej. W kraju zaś niestety jest tylko jedna fabryka drzewnika



Tarnobrzeg. Maszyna do wytwarzania masy drzewnej.



Maszyny papiernicze.

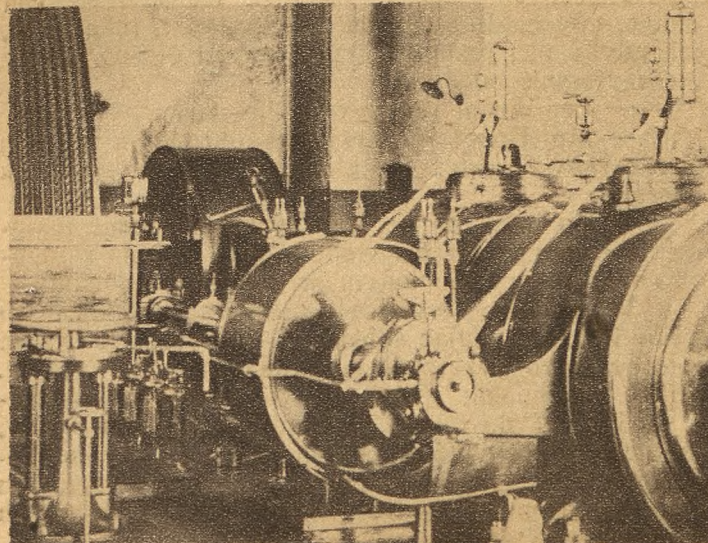


Młyny do mielenia masy papierowej (holendry) oraz odwadniacze masy drzewnej.

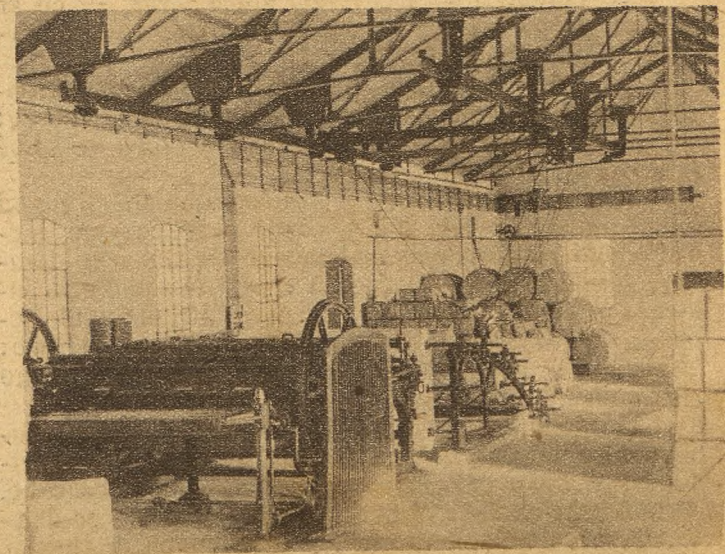
we Włocławku i ona to dyktuje ceny papierniom, rząd zaś liczy się z właścicielami jej, gdyż są to Francuzi i Żydzi. Wskutek wysokich cen celulozy i papiernie, posługujące się zresztą maszynami zagranicznymi i rozmaitemi częściami również z obczyzny, wysoko kalkulują (cenią) papier. Dzisiaj wóz kolejowy, mogący zmieścić 10 000 kilo papieru, kosztuje przeszło 2 miliony marek, a na jeden numer naszego wydawnictwa zużywa się zgórą 1 000 kilo, łatwo obliczyć koszt samego papieru. Ceny zaś ciągle idą w górę, ku czemu przyczyniają się również żądania podwyżek za pracę. Wymarzone byłyby takie warunki, żeby las świerkowy, fabryka celulozy, papiernia i drukarnia w jednej znalazły się miejscowości. Wówczas z błyskawiczną niemal szybkością możnaby dostarczać i zadrukowywać papiery. Otóż te nieprawdopodobne wprost warunki znalazły się w... Niemczech. Tam pewien fabrykant ma i las i fabryki i drukarnię pod bokiem. A praca idzie piorunująco. O pół do ósmej rozpoczyna się praca

w lesie przy rąbaniu drzewa na celulozę, a już o jedenastej rano czyta się gazetę drukowaną na papierze, sporządzonym z tejże celulozy!

Szkoda tylko, że papier jest drogi nie tylko u nas, ale i w Niemczech, a przez to droższą pisma, książki i opóźnia się nauka. Jedyną radą byłaby zastąpić celulozę innym tańszym o wiele surowcem. Jest nim **słoma**. Nie jest to nowość, używano bowiem słomy ryżowej i kukurydżowej na papier, ale chodzi o taką umiejętność przeróbki słomy, aby papier był biały i mocny. I znowuż dokonują tego od bardzo niedawna w Niemczech, jak słysząc z wielkim powodzeniem. A ponieważ słoma szalenie jest tania (w stosunku do drzewnika) i mamy jej pod dostatkiem, więc chodzi „tylko” o maszyny i — tajemnicę przerobu słomy na papier. Ale to „tylko” kosztuje miliony, które od razu trzeba wyłożyć.



Maszyna parowa.



Wykończalnia. Krajanie, sortowanie i pakowanie.

WYZNANIE.

(Z angielskiego.)

Nie przypominaj mi tych chwil młodości,
Gdy życie kwitło me, jak cudnej barwy kwiat,
Gdy tylko szczęścia blask widziałem w swej przyszłości
i jakby rajem wciąż wydawał mi się świat.

Gdy mię wabiły tak bezmierne pól obszary
I suchy borów szum i piasząt srebrny gwar,
Gdy nęcił śpiewem swym skowronek nawet szary,
I wszystko wokół mnie tajemny miało czar.

Gdy cała duszy moc zrywała się do życia,
Co zdało mi się być czarownym tylko snem,
Gdy każdy dzień mi niósł radosne serca bicia,
I upajałam się marzenia cudnem swem.

Nie przypominaj mi tych pięknych dni świetlanych,
Nie oddam za nie już ciernistych później dróg,
Nie oddam za nie łez, w ukryciu gdzieś wylanych,
Ni ciężkich gorzkich prób, przeżytych trosk i trwóg.

Bo chwile cierpień tych uczyły mnie powoli,
Że nie mój własny los stanowi życia treść,
Gdy tylu braci mych jaśniejszej nie zna doli
I musi ciężki krzyż do końca życia nieść.

Dolores.



Depesza.

Z niedawnej przeszłości opowiedziała Jawnuta.

(Dokończenie.)

Siedząc sam jeden w przedziale, Władysław przeżywał raz jeszcze bolesne chwile pożegnania... Uściskawszy żonę po raz ostatni, wyrzekł do niej jeszcze te smutne i straszne słowa:

— Będę cierpieć więcej od ciebie... O każdej zmianie w zdrowiu Lesia donieś mi telegraficznie, błagam cię o to. Telegrafuj: „Nadzieja” w razie polepszenia, a: „Odwagi” jeżeli...

Łkanie nie dało mu dokończyć tego okropnego zdania.

— Odwagi! — powtarzał sobie teraz, — co za ironia! Czyż można mieć ją wtedy, gdy śmierć wydziera nam dziecko!

Po nocy spędzonej bezsennie wśród najokropniejszego niepokoju, nazajutrz rano otrzymał depeszę:

— Uspokój się — donosiła mu żona — „Leś uratowany, znaczne polepszenie.”

Kiedy po otrzymaniu tego telegramu stanął przed swym dowódcą, ten, nie wiedząc o przyczynie niezwykłego podniecenia, malującego się na jego twarzy, posadził go w pierwszej chwili o nadużycie jakiegoś trunku. Odtąd co dni parę otrzymywał depesze, zawierające tylko to jedno promienne słowo: „Nadzieja.” Ileż to krótkie słowo miało dla niego znaczenia...

Gorączkowe oczekiwanie i radość uszczęśliwionego ojca musiały jednak ustąpić twardej rzeczywistości. W kilka dni później wpadł on w inną gorączkę, w gorączkę walki. W bitwie pod N. walczył za dziećmi, zapalem swym elektryzując innych, a chociaż

zdawał się igrać z niebezpieczeństwem, wyszedł jednak z boju cało, bez najmniejszej rany.

Po paru większych potyczkach, w których odznaczył się również bohaterstwem, dowódca wezwał go raz do siebie, mówiąc:

— Winszuję panu z całego serca. Zostałeś pan majorem.

— To być nie może!

— Ale tak jest. Otrzymałem właśnie odpowiedź z ministerjum na mój raport, w którym wymienilem najbardziej zasłużonych w ostatnich bitwach. Mam też nadzieję, że na tem się nie skończy i że wkrótce pierś pańską ozdobi order „Virtuti militari.”

— Nie zasłużyłem na tak szybki awans, panie generale i panu chyba jedynie go zawdzięczam.

— Nie, tylko własnemu męstwu i patriotyzmowi. Zresztą nie mówmy już o tem. Ale jak się tam żoneczka ucieszy — dodał z uśmiechem generał i uściskał dłoń nowego majora, z którym poza stosunkiem służbowym serdeczna łączyła go przyjaźń.

Pożegnawszy go Władysław pośpieszył do swego mieszkania, aby napisać i wysłać telegram do żony. Jakże będzie rada ukochana jego Wandzia, gdy się dowie, że wśród zaciętych walk z wrogiem nie został nawet ranionym, o co się tak obawiała, jak widział z jej listów.

W mieszkaniu swem zastał wszystkich prawie oficerów, bo wieść o jego awansie szybko rozeszła się wśród wojska. Winszowano mu też z całego serca. Władysław bowiem ogólną cieszył się sympatią. W kącie pokoju stał jego ordynans, pocztowy, Grzela Skowronek, syn karbowego, z majątku jego ojca. Znał się z nim od dzieciństwa, nieraz na spółkę płątali różne psoty i figle, skoczyłby w ogień za swego „panicza.” I teraz z właściwą sobie serdeczną poufalością zawołał:

— Paniczu, z przeproszeniem panie majorze... Melduję pokornie, że chcę przyszyć nowe naszywki do pańskiego munduru, a zrobię to jak się patrzy.

Po niezliczonych uściskach dłoni, komplementach i podziękowaniach, oficerowie się rozeszli. Władysław zaś zbliżył się do stołu, na którym spostrzegł odrazu list od żony.

— To za wiele szczęścia na jeden dzień!... — szepnął radośnie, przesyłając od ust pocałunki fotografom swojej Wandzi i Lesia, stojącym na stoliku.

Wziął właśnie list żony, lecz nie zdołał go jeszcze otworzyć, gdy zapukano do drzwi.

— Telegram, panie majorze!

Władysław rozpieczętował go z roztargnieniem, sądząc, że to zapewne jakieś nowe powinszowanie od nieobecnych kolegów. Zaledwie jednak rzucił na okiem, gdy nagle zbladł jak płótno, potarł ręką czoło, jak gdyby nie rozumiał jego treści i głośno, jakby nieprzytomnie odczytał:

— Leś dostał recydywy. Odwagi...

— Mój Boże! — krzyknął okropnym głosem nieszczęśliwy ojciec i z głuchym jękiem upadł na krzesło.

— Co to?... co się stało, paniczu... panie majorze? — zapytał Grzela wchodząc do pokoju z mundurem w rękę, ozdobionym już nowymi galonami.

Władysław zerwał się z miejsca z oblakany wzrokiem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni i gorączkowo przeszedł się kilka razy po pokoju. Potem machinalnie wrócił do stołu, spojrzał na telegram i wziął do ręki list Wandy. Ręce mu drżały, nie mógł przeczytać ani słowa, przerzucał tylko bezwiednie dość liczne, cienkie arkusiki. Nagle na ostatniej stronnicy znalazł kilka słów nakreślonych dziecięcym pismem.

„Mój drogi tatusiu. Jestem już zdrow i mama nauczyła mnie literek, żebym sam napisał do ciebie, że bardzo cię kocham i modlę się za ciebie do Bozi.”

— Ach, Grzesiu! — zawołał nieszczęśliwy i nie mogąc się oprzeć potrzebie podzielenia z kimkolwiek swojego bólu, rzucił się na szyję wiernego sługi. Potem łkając rozpaczliwie, pokazał mu fotografię Lesia, która zdawała się uśmiechać do nich obu.

— On nie żyje!... Czy wiesz, Grzesiu, umarł mój chłopczynek!...

— Panie majorze... uspokójcie się, panie mój złoty!...

I gdy towarzysz lat dziecińczył starał się go podtrzymać, nie puszczał jednak z ręki jego munduru, Władysław płakał długo rzewnymi łzami, które spadały ciężko na nowe galony.

Wreszcie podniósł głowę, rzucił okiem na krucyfiks, wiszący nad łóżkiem i głosem urywanym wyjąkał:

— Boże, bądź wola Twoja!... Jeżeli nie chciał, Panie, by Leś mój tak, jak ja służył kiedyś Polsce, przyjmże śmierć jego i nasz ból rodzicielski jako ofiarę za wolność ojczyzny...

W tejże samej chwili z bliskiego kościołka rozległ się odgłos dzwonu na Anioł Pański...

TAJEMNICA MISTRZA.

PRZEDZIWNĄ POWIEŚĆ Z ŻYCIA IMCI PANA TWARDOWSKIEGO.

NAPISAŁ KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

(Dokończenie.)

XXIII. Ofiara.

Noc już dawno uśpiła Kraków, a karzeł, który od rana nie znalazł czasu nawet na jedzenie, nie kładł się na spoczynek.

Palilo mu się wszystko w rękach. Tak śpieszył z robotą, jak gdyby ta przeprowadzka gratów Twardowskiego, dla której wcale terminu nie było, musiała odbyć się pilnie nazajutrz.

Wszystkie drobiazgi w mieszkaniu były już spakowane, a większe sprzęty tylko do wyniesienia przygotowane i trzeba było jeszcze jedynie z wysokiej szafy pozbierać kilka naczyń.

Karzeł rozejrzył się po komnacie, upewniając się, czy w istocie udało mu się zrobić tyle za jednym zamachem.

Zauważywszy ile godzin nocy już upłynęło, doznawał ulgi na myśl, że chora kobieta widocznie żyje i pewnie się jej polepsza; gdyby bowiem Twardowski był przyjechał za późno do niej, dawno już byłby powrócił do domu.

Żuż pousiwał wszystkie sprzęty na bok w ten sposób, że droga do wynoszenia ich ku drzwiom uprzątnęła się zupełnie.

Tuż przy drzwiach stała ogromna szafa i już do cna przez niego wypróżniona, na której było jeszcze na górze parę gąsiorów i butli z potrzebnymi lekarzowi płynami.

Chcąc ostatecznie wszystko już skończyć przed rankiem i do ostatka mistrza wyręczyć, postanowił garbus i te naczynia jeszcze przygotować odpowiednio do przewozu.

Wysoki, mały stolik, na którym stał kaganek, przysunął pod samą szafę, światło umieściwszy tymczasem poniżej na jakiejś skrzynce.

Następnie próbował wygramolić się na ów wysoki stolik, ale z trudem mógł dosięgnąć wierzchu szafy.

Wreszcie zawiesiwszy się na jej drzwiach jedną ręką, a nogą opierając się o półkę, zdołał ściągnąć już trzy gąsiora z szafy i obwiązawszy je, poustawił między resztą tobołków.

Odetchnął, by nabrać więcej siły, ponieważ osłabł już zupełnie, a ręce i nogi drżały mu, jak podczas owych słów krzywdzących, którymi zasympyal go Twardowski.

Kaleka chciał już o nich zapomnieć, ale wbrew

jego woli wracały ciągle i huczały w uszach bez końca, niczem nie zagłuszone.

— Niedołęgo... nieponiu... lotrze...

A ile razy zgrzytnęły mu w uszach ponownym echem, ręce i nogi karła trzęsły się, jak w febrze.

Ot, właśnie teraz już rozmyślnie całą uwagę skupiał na ogromnej butli ze spirytusem w ostatnim naczyniu, które postanowił ściągnąć z góry szafy, i opakować, ale w uszach rechotało mu jakimś zabiegiem skrzeczeniem: „coś ty narobił!”

Zatrząsł się cały, lecz za wszelką cenę pragnął o tem nie myśleć, wpił wzrok w wielką flaszę i zaczął się na nowo gramolić na szafę.

— Ach, ten spirytus — myślał sobie. — Będzie też z nim kłopot... Zawsze mówiłem mistrzowi, że moglibyśmy się bezień obchodzić... Często mu powtarzałem, że to gotowo więcej złego wyrządzić, niż może zdziałać dobrego...

Wdrapał się właśnie na górę i w nadzwyczajnie trudnej, niewygodnej postawie sięgnął po pękata butlę.

Grube szkło wyślizgnęło mu się z palców, garbusek chciał je lepiej schwycić, lecz noga zsunęła mu się skutkiem gwałtownego ruchu z krawędzi półki...

W mgnieniu oka butla spadła, rozpryskując się, a karzeł runął z góry...

Spirytus zajął się od kaganka i z hukiem buchnął płomieniem...

Szkiełkiem pokaleczony Żuż wśród ognia zerwał się z podłogi i gwałtownym szarpnięciem zwalwszy ciężką a próżną szafę na ziemię, przygniótł płomień, zanim zdążyły się rozszerzyć.

Lecz na nim plonęło już wszystko, więc spostrzegłszy, że on jeden zagraża ogniem całemu mieszkaniu, rzucił się żywą pochodnią z pokoju na drzwi i powaliwszy się na ziemię w ogromnej sklepionej sieni, jał tarzać się po glinianem klepisku.

Zbyt wielki jednak ogień wyniósł z sobą, by tarzając się dwoma garbami po ziemi, móc zdławić na sobie płomień.

Już nie suknie na nim, lecz on sam plonął...

W śmiertelnym bólu wijąc się pod sklepieniem pustej, murowanej sieni, pełnej gryzącego dymu, konający karzeł szeptał:

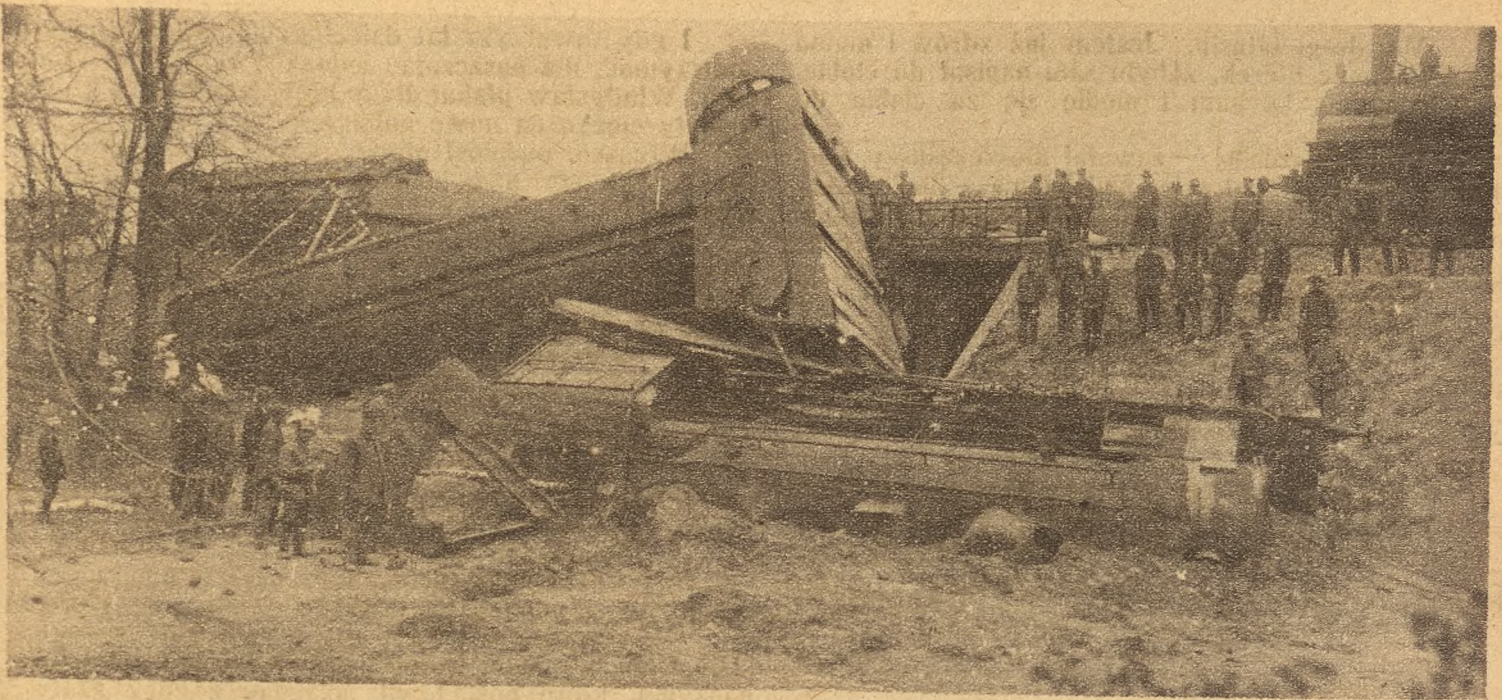
— Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

To była ostatnia myśl człowiecza, z którego za chwilę została jeno bryłka dymiącego węgla.

Potknął się o nią o świcie mistrz Twardowski.

Już miał bowiem wjeżdżać bryczką do sieni, gdy go dym uderzył, więc prawie z bramy coinał konie i wyskoczywszy, szedł sam przerażony...

Dym mu wzrok zasłaniał, więc chociaż już



Katastrofa kolejowa pod Bukiem w okolicy Poznania.

dniało, i światło z dworu rozwidniło się, posuwał się jak po omacku przed siebie...

Wtem natknął się na coś, odskoczył, pochylił, przyjrzał, lecz w kupie dymiącego węgla nie rozpoznać nie mogąc, tylko wogóle pożaru się domyślając, śpieszył dalej do domu.

Z drzwi otwartych buchnął ku niemu wśród dymu i śwedu silny wyziew spalonego spirytusu, więc pojął odrazu, co mniej więcej stać się tu mogło.

— Żuż, Żuż! — zaczął nawoływać z progu, wytrzęziony do reszty widokiem zwalonej na pokój szafy, a kiedy mu odpowiadała głucha cisza, zaczął szukać po wszystkich kątach, zastawionych tobołami, podźwignął nieco szafy i powoli dorozumiewając się treści rozegranego w tej komnacie dramatu, wypadł jak szalony z powrotem do sieni.

Okropne przeczucie zatrzymało go nad zwęgloną bryłą bez kształtu, kurzącą się jeszcze dymem przesyconym jakimś strasznym odorem...

Oczy wierzyć nie chciały, ale w głębi duszy coś jak gdyby nagle wyrzuty sumienia podszeptały mu zniechęcająco przeraźliwie...

— To on... przezemnie...

Złapał się Twardowski za głowę i włosy sobie z niej wyrывая, wypadł z krzykiem na ulicę. Popędził przed siebie bez celu, niby obłąkany, którego jakieś wizje ścigają dręczące okrutnie...

Tak blakając się po zaułkach miejskich i po polach pustych pod Krakowem, uciekał do południa przed widokiem ludzi; aż wreszcie w ubraniu poszarpanem i wywalanem przywłócił się do domu

chylkiem, przesunął się koło koni, które bryczkę już o mur przechyliwszy, z niecierpliwości doły kopytami wygrzebały i wszedłszy do sieni, runął nad trupem zwęglonego karła, złamany bólem bez miary, odchodzący prawie od zmysłów.

Nazajutrz, kiedy świt różowy oblewał blaskami szare mury Krakowa, jechał Twardowski w stronę Krzemionek bryczką w parę czarnych koni tęczyskich zaprzężoną, powolutku, jak gdyby wioząc ciężar ogromny.

Ale kiedy zatrzymał się przed wnijsiem do groty, która mu odtąd miała służyć za pustelnię w zupełnem osamotnieniu, zdjął z bryczki skrzyneczkę tak lekką, jak gdyby w niej nic nie było.

— Jakże mało waży ta garść popiołu... — szepnął do siebie Twardowski głosem tak smętnym, jakim dziesięć lat temu rozmawiał z otwartą trumną swojej Basi...

Odpiał konie od wozu, puścił je na trawę, a sam ze skrzynką na ramieniu wszedł do korytarza podziemnej pieczary.

Kiedy w godzinę później mogiła karzełka, obok zamienionej jego ręką na mieszkanie dla mistrza, wielkiej groty, zawarła się za skrzynką z popiołem, Twardowski oblał ją serdecznymi łzami.

— Mogłbym — szepnął do siebie półgłosem, dźwigając się z kolan, ukojony w rozżaleniu długą, cichą modlitwą — mogłbym położyć tu kamień grobowy, a na nim wyryć tylko dwa słowa:

„Tajemnica Twardowskiego“.

KONIEC.



Stinnes (po prawej),

Sennecke.

król przemysłowy Niemiec, który ma odbudować Rosję.

III Zjazd Katolicki

odbędzie się pod protektorem Jego Eminencji X. Kardynała-Prymasa Dalbora 10, 11 i 12 czerwca 1922 r. na auli uniwersyteckiej.

Po raz trzeci zbierają się katolicy archidiecezyj gnieźnieńskiej i poznańskiej na uroczysty wiec, aby obradami swemi wprowadzić myśl i czyn katolicki w życie publiczne.

Wierzmy bowiem usilnie, że właśnie myśl katolicka jest powołana do zespolenia rozbitych, skłóconych żywiołów, do wiania pokoju wewnętrznego i nadania nowego rozpędu dążeniom zmęczonego obecnym stanem rzeczy społeczeństwa.

Daliśmy dowody, że obrady nasze obracają się w dodatnim czynie, unikając jałowej, do walki podniecającej polemiki.

My katolicy jesteśmy w Polsce bez wątpienia czynnikiem najpotężniejszym; wskazują na to chociażby zabiegi przewrotu około osłabienia tej naszej, z jednolitości ducha wypływającej potęgi, przez propagandę zagraniczną wyznań nie katolickich i wznowione próby kościoła narodowego.

Szukamy jasnego, wyraźnego wykreślenia drogi, którą pójść powinna zbiorowa praca narodu i państwa, jasne pragniemy dać wskazania, od których żądań — katolikowi czynu — bez względu na przekonanie polityczne, odstąpić nie wolno.

Życie narodu jest źródłem literatury i sztuki, i przedmiotem kształtowanym przez nie.

Czysta linja w literaturze i sztuce, chrześcijańska i narodowa, decyduje nierzadko o szlakach, jakimi duch narodu pójdzie w przyszłości.

W obradach III Zjazdu Katolickiego damy sobie odpowiedź na powyższe zagadnienia, uczynimy przegląd sumienny sił naszych organizacyjnych, policzymy zasoby i środki pomocnicze.

Oto tak wygląda w krótkim zarysie praca, zamierzona przez III Zjazd Katolicki.

Do społeczeństwa i organizacji katolickich odzywamy się rozgłoszonym hasłem:

Spieszmy do Poznania na wiec, na obrady III Zjazdu Katolickiego!

Sprawa Boża — dobro Polski woła nas!

Komitet III Zjazdu Katolickiego.

Ks. Biskup Kłosek. **Ks. Biskup St. Łukomski.**
Gen. porucznik Raszewski, rektor Świeciecki, ks. St. Adamski, ks. Zdzisł. Czartoryska, radca Cynka, ks. St. Czapski, Wacław Calka, Jan Cywiński, Paulina Cegielska, Jarogniewowa Drwęska, dyr. Borzuński, prof. Biesiekierski, prezydent hr. Bniński, Ign. Dziasek, ks. Janasik, Szczep. Jeleniński, dr. T. Jackowski, ks. Józef Kłos, dyr. Kniat, starosta Kłos, szamb. Komierowski, dr. Karasiewicz, ks. Laubitz, dr. Henryk Opieński, dyr. Ostrowski, ks. Mayer, ks. Cz. Meissner, poseł dr. Meissner, starosta grodzki Mravinsics, Piotr Nowacki, Konst. Przewłocki, ks. Płoszyński, Edw. Potworowski, Prawdzic-Szczawiński, St. Peisert, ks. O. Remigiusz Huppenthal, Zofja Rzepecka, Edm. Surdyk, Marja Szaniecka, ks. Schoenborn, wicekurator Stein, Jan Suchowiak, L. Turnowa, ks. Stycheł, Zofja Starkowa, Ignacy Stachowiak, Marja Swinarska, ks. Wilkams, St. Wytykówna, ks. O. Ziemiński, dyr. Ziolkowski, Feliks Nowowiejski, ks. dr. Zaleski, prezes J. Zychliński, hr. Leon Żółtowski, Jadwiga Zaremblina, Józef Rzepka, Czerwony krzyż — dr. Zniniewiczówna, Akad. koło „Elenis“ — Piotr Jeż, C. T. L. — X. Ludwiczak, C. T. G. — dr. Szuldrzyński, korp. Kupców Chrześcijańskich — T. Otmianowski, Młodzież Wszechpolska koło poznańskie — H. Rössmann, Koło XX. prefektów — X. Kowalski, konwent Polonia — Wyszyński, Koło nauk. literackie — dr. Kozicki, Sodalicja Pań, Sodalicja Panów, Surma korporacja U. P. — Zbigniew Walter, Sodalicja akademików — Karol Masłowski, Sodalicja akademików — Jadwiga Dziembowska, Tow. katol. opieki dworcowej — M. Kobylińska, Tow. kat. służby żeńskiej, Stow. Porządku Publicznego — dr. Rydlewski, syndykat prasy — dr. Marchlewski, wydział lekarski Tow. N. P. — dr. Dembiński, dr. Karwowski, Zw. Tow. Przemysłowych — T. Krause, Zw. Tow. Kupieckich — E. Mazurkiewicz, Zw. Ziemian, Rada Wyższa Tow. Pań św. W. a Paulo — Augustowa Mieczkowska, R. W. konf. Panów św. W. a Paulo — Kaźm. Brownsford, Zw. Kolek Rolniczych, Sodal. młodzi. kupieckiej — Adamczewski, Stow. chrześc. narod. nauczycieli szkół powszechnych w Polsce — Kałuzny, Martinkówna, Silesia — Ign. Szymała, Kółko włościanek — W. Niegołewska, Zw. Ziemianek — Lossowowa, Senat Uniwersytetu, Zw. Drukarzy Polskich — L. Szczepaniak, Stow. Dobroczynności — rotm. Rostański.

Komitet wykonawczy.

Dr. Gantkowski, prezes, X. Józef Prądzyński, sekret. H. Brownsfordowa, dyr. Bugzel, X. dyr. Bajerowicz, W. Chłapowska, X. Dymek, dr. Janina Drzażdżyńska, X. Galdyński, X. Jarosz, dr. Kapuścińska, H. Kozłowska, X. Kuński, dr. Kiedacz, X. red. Kozłowski, Cz. Kędziński, X. Laskowski, Ewa Lossowowa, X. Maliński, X. Marciniak, X. Niedbał, Tad. Powidzki, A. Pawłowski, Karol Rzepecki, Wł. Rekosiiewicz, X. J. Schulz, dr. Salkowski, Anna Smoczyńska, Zofja Ozdowska, Jan Ulatowski, Marjan Walter, Józef Wroniak, X. Zakrzewski.

Podwyższenie przedpłaty.

W bardzo niemiłym położeniu znajdują się znowu wydawnictwa gazet i czasopism z powodu dalszego **podrożenia papieru gazetowego**. Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na artykuł zamieszczony pod obrazkami, przedstawiającymi fabrykę papieru w Myszkowie, która dostarcza papieru dla Przewodnika Katolickiego. Każdy abonent będzie mógł obliczyć, jak olbrzymią sumę pieniędzy płacić trzeba za sam papier potrzebny do druku. Jest rzeczą jasną, że abonament dotychczasowy koniecznie musi być podwyższony. Wydawnictwo bowiem z **deficytem na czas dłuższy pracować nie może**.

Zważcie, Szanowni Czytelnicy, że dziś już ceny za wszelkie artykuły w Polsce są mniej więcej równe — a więc ceny za mięso, mąkę, odzież, obuwie, bieleńsze są wszędzie w Polsce mniej więcej te same.

A jak się przedstawia **abonament** czasopism polskich? Czytajcie!

Oto kilka podajemy tygodników, wychodzących

w tych samych rozmiarach co Przewodnik Katolicki i przedpłatę, jaką pobierały w bieżącym kwartale:

„Zorza“ wychodzi w Warszawie — kwartalnie mk. 500.	
„Lud Katolicki“ w Krakowie .. mk. 390.	
„Gazeta Świąteczna“ w Warszawie .. mk. 600.	
„Gazeta Radomska“ w Radomsku .. mk. 300.	
„Nowe Życie“ w Grodnie .. mk. 450.	

W tym samym czasie

przedpłata kwartalna Przewodnika Katolickiego wynosiła mk. 160. Szanowni Czytelnicy zrozumieją, że wydawnictwo musi znacznie podwyższyć przedpłatę, aby „dochód był w zgodzie z rozchodem“.

Od 1 lipca Przewodnik Katolicki kwartalnie kosztować będzie w Poznaniu (w ekspedycji i agencjach) 250 mk. — na prowincji zaś 300 mk. W stosunku do innych czasopism opłata ta jest jeszcze niska i względna.

Moja podróż polityczna.

Przygody kresowca zachodniego na kresach wschodnich.

Skreślił J. S. z Bylina.

XII.

Cisza wiejska — Agitator przeciwnik. — Wiec w S. — Państwko Białoruskie. — Przygoda p. Ski w Smorgoniach.

Każdemu, co z rojnych i gwarnych miast przybywa na wieś, miłą przedewszystkiem jest ta cisza wiejska niczem nie zamacona. Mieszkańcy przy pracy w domu lub na roli, drogi i szosy przeważnie opustoszałe w ciągu tygodnia. Ciszy nie przerywa jak w mieście ani bezustanny turkot wozów, ani sygnały samochodów, ani odgłosy syren fabrycznych; niekiedy tylko wóz lub jeździec konny przemknie drogą i zniknie wnet z oczu. Jeżeli tak jest u nas, to cóż dopiero tam na dalekich kresach wschodnich, gdzie wioski nieliczne rozsiane w dalekich odstępach w znacznej części zburzone lub opuszczone już od kilku lat przez mieszkańców. Tylko raz w tygodniu panuje tam ruch niezwykły, w dniu targu. Na targ lub jak tam mówią kiernasz ciągną ludziska ze wszystkich stron; wtedy po drogach tłoczy się istne morwie ludzkie. Ale w inne dni — pusto i głucho wszędzie. A jednak gdym jeździł po powiecie, ze zdziwieniem patrzałem, jak po drogach na saniach uwijali się wciąż jacyś ludzie — kto to być może? Domyśliłem się i dowiedziałem wreszcie, że to agitatorzy rozmaitych partii politycznych pędzili, by uprawić serca pod siejbę ziarna swych haseł i nauk.

Z jednym takim agitatorzem przeciwnikiem miałem nawet zaszczyt na wiecu walczyć, choć nie na pięści.

Był to zwolennik „Odrodzenia,” które zerkalo mocno ku Litwie. Musiano mu grubo płacić, bo jeździł elegancką powózką; inni raz po raz pieszo drepali, jak n. p. agitator z partii Aleksiuksa białoruskiej, choć coprawda ten tylko dlatego, że mu żaden mieszkaniec woza ani konia użyzyć nie chciał.

W wiosce S. zgromadziła się cała wieś z sołtysem na czele w szkole. Po mojej mowie wiecowej spokojnej, przeciwnik poprosił o głos. Mówił w narzeczach białoruskiem. Wyteżałem słuch, aby zrozumieć, co on też wiecownikom nagada. Przekonałem się, że chce z Ziemi Wileńskiej osobne stworzyć państwko. W końcu rozdał odpowiednie szumne odezwy (także i mnie wręczył jeden egzemplarz.) Należyta mu dałem odprawę. Kiedym przemawiał, nagle powstał zgłęb i hałas — kilku wiecowników zaczęło klócić się z moim przeciwnikiem, obrzucać go niezbyt miłymi wyzwiskami i anim się spodział, jak go wypchnęli ze sali ku wielkiej ucieście zebranych.

Ciekawą jest rzeczą, jak pocziwi ludzie uzasadniali swe stanowisko, iż należeć chcą do Polski.

— My mamy — mówili — tworzyć osobne państwko? Jakie? kilka wiorst wielkie w dłuż i wszerz. Bo przecie pan przyjechał z kilkaset mil oddalonego od nas Poznania, a my go rozumiemy po polsku, taka to Polska wielka. A rozmówić się „po prostu” (to zn. po białorusku) gdzie można? Ot tam, w jednej i drugiej wsi i na tem koniec. Ładne by to było państwo białoruskie!

— A czy aby wszyscy tam w Polsce tak ładnie po polsku mówią jak pan? — pyta nieśmiało pewne dziewczę.

A gdy odebrała potakującą odpowiedź, zawołała:

— Szkoda, że u nas mowę polską tylko od święta mamy. — (Mówią bowiem pomiędzy sobą po białorusku.)

Nie zawsze jednak mieliśmy tak wdzięcznych i miłych słuchaczy.

Oto w Smorgoniach odbywał się wielki kiernasz. Doskonała okazja, aby urządzić wiec publiczny. Stałem razem z p. Ski na pewnem wywyższeniu. Byli też „instruktorzy” z innych partii. Przemawiali jeden po drugim. Każdy musiał mieć rację, bo wszystkim bez wyjątku bito brawa. P. Ski stanowczem swoim wystąpieniem zdobył sobie uznanie zgromadzonego ludu. Niestety chciało, że nagle pewien instruktor zawołał:

— On jest wrogiem p. Piłsudskiego!

P. Ski oszołomiony i zdenerwowany bąknął coś, co słuchacze zrozumieli jako obrazę Naczelnika. Tego im było za wiele. Laski podniosły się w górę i w jednej chwili p. Ski stoczył się z wyżyny w fale wzburzonego ludu, obdarowany gęstymi szturchańcami i dotkliwymi uderzeniami kija. (Czy p. Ski wniósł zażalenie z powodu tej napaści i czy władze naczelne zarządziły śledztwo w tej sprawie nie wiem.)

Naturalnie i ja zemdlałem szybko — a na placu boju pozostali jako zwycięzcy agitatorzy z pod znaków Witosa, Daszyńskiego itd., którzy szeroko wywodzili spokojnym już wiecownikom, że oni są za p. Piłsudskim a Centr. Komitet Wyborczy przeciw.

Nie zasmuciła nas wielce ta przygoda, boć to tak w życiu zawsze bywa: „raz na wozie, raz pod wozem.”

Ze świata katolickiego.

Kongres eucharystyczny w Rzymie.

W końcu maja odbył się 25-ty kongres eucharystyczny w Rzymie. Kongres otworzył sam papież w jednym z dziedzińców Watykanu w obecności 30 000 wiernych oraz 20 kardynałów i ciała dyplomatycznego przy Watykanie.

Ojciec św., którego zebrani powitali entuzjastycznie, udzielił błogosławieństwa uczestnikom kongresu, poczem kardynał Vanutelli, jako najstarszy członek św. Kolegium, odczytał adres, wyrażający życzenie, aby kongres przyczynił się do wzmocnienia idei pojednania wśród ludów i pokoju światowego. Następnie wygłosił papież mowę, w której wskazał, że kongres jest początkiem powszechnego uspokojenia, będącego pierwszym i nieodzownym warunkiem każdej odbudowy społecznej i powrotu do Boga. Papież powitał uczestników kongresu w Rzymie, który jest dla wszystkich drugą ojczyzną. Udzieliwszy apostołskiego błogosławieństwa, papież powrócił do swych apartamentów.

Kongres zakończył się uroczystą procesją, która przez kilka godzin przeciągała przystrojonymi ulicami miasta wśród olbrzymich tłumów publiczności.

Na czele procesji jechał szwadron kawalerji z muzyką, następnie szły związki religijne, kapituły, patriarchowie, biskupi, liczne zakony religijne i kardynałowie. Procesja zakończyła się błogosławieństwem udzielonem wszystkim uczestnikom.

Podczas kongresu Papież przyjął pielgrzymkę polską, której towarzyszyło kilku biskupów i arcybiskupów. Arcybiskup Lwowa Bilczewski odczytał adres hołdowniczy do Papieża, na który Ojciec św. odpowiadając, przypominał ze wzruszeniem lata przeżyte w Polsce, oraz tragiczne i pełne chwały dla narodu polskiego godziny, które i On wówczas przeżywał wraz z całym narodem. Godzin tych — oświadczył Papież — nie nie zdoła w jego pamięci zatrzeć. Po przemówieniu, Ojciec św. udzielił błogosławieństwa.

Obecny stan katolicyzmu w Anglii.

Najważniejsza archidiecezja Westminsterka pozostaje pod zarządem kardynała Bourne'a. Liczba dusz wynosi 260 tysięcy. W szkołach początkowych i średnich liczba dzieci dosięga do 40 tysięcy, kapłanów jest 487, w tem 190 zakonników. Największą liczbę katolików posiada w Anglii diecezja liverpoolska. Liczy ona 300 księży świętych, 182 zakonników i około 400 tysięcy wiernych. Walja stanowi tylko małe biskupstwo, gdyż katolików jest tu stosunkowo mało: liczba ich nie przewyższa 10-ciu tysięcy. Do ich obsługi jest 92 księży, przeważnie zakonników. Szkocja ma 2 arcybiskupstwa: w Edynburgu i Glasgowie. Hierarchia katolicka została tu przywrócona dopiero w r. 1879 za Leona XIII. Od tej pory rozwinęła się szybko i liczy dziś 2 arcybiskupów, 4 biskupów i 600 kapłanów. Rok rocznie przechodzi na katolicyzm przeszło 127 osób. Obecnie w Anglii, Szkocji i Irlandji zamieszkuje 5570 145 katolików, zaś w całym państwie brytańskim 13 815 000, z czego przypada 5 923 750 na Europę, 2 316 000 na Azję, około 600 000 na Afrykę, 3762 500 na Amerykę z Kanadą i 1 229 750 na kolonie w Oceanie.

Dla tych, co nie mają czasu.

Spółszczyta Nina Miłkowska.

Pewnego razu, gdy siedziałem sam w domu, zabrzmiał dzwonek u drzwi wchodowych. Poszedłszy otworzyć, ujrzałem młodzieńca lat dziewiętnastu, bardzo lichy odzianego, wyglądającego na rzemieślnika przybyłego wprost z warsztatu. Wyciągnął do mnie rękę niezbyt czystą, a widząc, że waham się z podaniem mojej, rzekł:

— Nie poznaje mnie pan?

— Przyznaję, że niezupełnie...

— A ja pana zaraz poznałem, pomimo, że się pan zmienił przez te pięć lat, podczas których nie widzieliśmy się. Niech mi się pan dobrze przyjrzy, czy nie panu nie przypominam? Nie pamięta pan już lekcji w szkole na Pradze?

— Henryk! — zawołałem, poznając go nagle. — To ty, mój dobry chłopcze?

— Nareszcie! — rzekł uradowany.

Henryk był to jeden z najlepszych uczniów w szkole, w której byłem zatrudniony jako pomocnik nauczyciela. Po wyjściu ze szkoły wyjechał z rodzicami na wieś w okolicy Łodzi. Z początku pisywał do mnie, potem nie widzieliśmy nic o sobie. Przez pobyt na wsi wygląd jego zewnętrzny zmienił się całkowicie, nie więc dziwnego, że go zrazu nie poznałem.

— Więc znów zostałeś warszawiakiem?

— A no widocznie, kiedy mnie pan widzi u siebie!

— A twój rodzice?

— Zostali na wsi. Nie było dość roboty dla mnie, więc mnie tu wysłali na zarobek.

— Masz miejsce?

— Tak, jestem forysiem w dużej tajni i dosyć zarabiam.

— To ładnie. A gdzie mieszkasz?

— U mojej zamężnej siostry; mieszkam i stołuję się u niej.

— Płacisz jej za stancję?

— Więcej niż to, bo daję jej wszystko, co zarabiam.

— Wszystko? To dobry chłopiec z ciebie. Ale skąd bierzesz na ubranie?

— Skąd biore? Toż łatwo można zgadnąć. Jak mi czego potrzeba, to mówię do siostry: „Marysiu, potrzebuje czegoś”. — „Dobrze”, odpowiada, „a czegoż to potrzebujesz?” Mówię jej, a ona mi kupi. Widzi pan, jakie to proste.

— Doprawdy, proste i bardzo mile. A twoje kieszonkowe?

— Moje kieszonkowe? Obywam się bez niego, a gdy czasami mam ochotę na setkę: „Siostrze, chciałbym mieć setkę”. — „Chciałbyś? no, to masz.” I tak zawsze bywa.

Podziwiałem, słuchając, dobroduszość tego chłopca, jego zdrowy rozum i dobre serce. Cieszyło mnie bardzo, że tak miał zakorzenione w sercu uczucia rodzinne, sprawiedliwości i poświęcenia, które tak rzadko spotkać obecnie można u młodych ludzi. Pozostała do zbadania kwestia religijna, której nie mogłem pominąć milczeniem.

— A niedzieli masz wolną?

— O nie! przy koniach jestem.

— Więc nie chodzisz na mszę św.?

— Jakto nie chodzę na mszę św. I Idę tak jak pan, nawet, bez obrazy pana, większą mam zasługę. Biegę między jedną robotą a drugą na cichą mszę i pędem wracam.

— A jak robisz z ubieraniem się?

— Nie ubieram się, idę jak stoje.

— Tak, jak teraz jesteś?

— Naturalnie! Czy się pan mną brzydzi?

— To nie, ale...

— A czy mnie pan za drzwi wyrzuci, jeśli przyjdę znów do pana w ubraniu od pracy, jak teraz?

— Z pewnością nie!

— Czy pan myśli, że Bóg, który jest sto, tysiąc razy lepszy od wszystkich, bardziej jest wymagający od pana? Idę do kościoła jak mogę, chyba lepiej niż wcale nie iść? Bóg nie patrzy na ubranie, ani na twarz, ani na ręce. Bóg patrzy na duszę, i jestem pewien, że woli czystą duszę z brudnymi rękami, niż czyste ręce z brudną duszą... Ale, co panu jest? Czemu pan tak na mnie patrzy i nie mówi?

W odpowiedzi pociągnąłem go do siebie i uściśnąłem ze wzruszeniem. Bylbym chętnie ucałował ubogie, brudne jego szaty i ręce poczerwiałe od pracy, i powtarzałem sobie słowa Zbawiciela o tem, że Bóg ukrył przed mędrcami świata to, co odkrył małuczkiem.

Co słyhać w polityce?

Po dłuższej w kraju nieobecności p. minister Skirmunt wrócił i już w drodze do stolicy pocieszał słuchaczy, którzy skrobą piórem, że zjazd w Genewie zakończył się dość pomyślnie dla Polski, bo nie został zerwany, a przeto weszliśmy w ściślejsze porozumienie z małą antantą.

Głównie zaś teraz ciągniemy do Rumunii, gdzie sam Piłsudski się wybiera urzędowo na ślub księżniczki rumuńskiej, nieurzędowo dla zacieśnienia węzłów politycznych z tym krajem, tak narażonym od strony Rosji. Hal toż i my jesteśmy wystawieni na niebezpieczeństwo „wschodnie”. Wprawdzie skupienie wojska sowieckiego wzdłuż granicy polskiej miało na celu uniemożliwienie handlu, czego podobno żądali Niemcy, bo to im „obrotu” psuje, ale to niebezpieczeństwo istnieje i w innej postaci. Oto półgębkiem Lojd Dżorż podnawia Rosję przeciw jej sąsiadom, mówiąc, że nie wierzy w pokój, dopóki granice na wschodzie poważnie nie będą zmienione. Co on tak tem wzrusza? Czy on jest wykonawcą testamentu politycznego lorda Kerzona, tego męża, który żądał od nas wbijania słupów granicznych nad Bugiem, ani kroku zaś dalej, a teraz jest tak ciężko chory, iż się usunął z widowni publicznej. Niepotrzebnie wszakże dzienniki polskie przejmują się tem, co chciał powiedzieć Lojd Dżorż, a tem bardziej, co pisze ten lub inny jego zausznik, bo to wprowadza rozdrażnienie i niepewność w umysłach o naszej przyszłości. Przypnać trzeba, że p. Skirmunt czarnowidzem nie jest i wlewa otuchę, a ta jego pewność oświecilieli może

przeciwników Polski. To tak, jak w życiu zwykłym: pewność siebie popłaca, niepewność wyżyłkuje każdy spryciarz na swoją korzyść.

Zgadano się o p. Skirmuncie, a że ma i w sejmie wielkie zrobić oświadczenie, więc zajrzyjmy, co się dzieje na Wiejskiej ulicy. Tumult, wrzawa, monopolisci i niemopolisci palą, abstynenci i nieabstynenci piją. Głosowanie nad **monopolem** już się odbyło: artykuł pierwszy rządowego projektu miał **równą** liczbę głosów „za” i „przeciw” w 2-em czytaniu; ale w trzecim i ostatnim monopolisci byli **górami** — 7-u głosami. P. Michalski jest zadowolony, o żydkach woła zamilczeć. **Gorzej** stanowczo powiodło się **ludowcom z wywłaszczeniem**, zażądali jego przyspieszenia, tak aby **urzędy** (z ich ludzi złożone przeważnie) miały głos **stanowczy**, nie zaś, jak teraz komisje, gdzie zasiadają ludzie, niezależni od partii. Domagali się także, aby **nie robiono** wyjątków przy wywłaszczaniu, czyli gdzie apetyt piastowca sięga, tam podaj mu zaraz 40 morgów, ba! już na wiecach zaczynają uchylać wywłaszczenie **bez wynagrodzenia**. Ktoś powie: **bolšewizm!** Na to odpowiedź: niezupełny, bo milczy się o obcych fabrykantach i kupcach paskarzach, czemuż tylko wzorowi rolnicy paść mają ofiarą chciwości, a my wszyscy, nieproducenci zboża, a jest nas około 10 milionów, walczyć jak już dzisiaj walczą urzędnicy z rządem o nowe tysiączki co miesiąc. Wiadomo bowiem, co będzie po **gwałtownem** wywłaszczeniu: **głód i szalona drożyzna** zboża.

Jeszcze jedno echo z sejmu doszło nas tutaj: socjaliści chcą **wyodrębnić** Galicję Wschodnią. Bardzo to **mily** projekt — ale **dla nich i dla żydów**, bo ani większość sejmu go **nie przyjęła**, ani Rusini go z wdzięcznym sercem **nie przyjmą**. Po wyjściu z sejmu zabieramy się **kolejną** na Górny Śląsk. W Katowicach widok bardzo **przykry**: kilkuset robotników polskich **wygnanych** z Gliwic, wielu rannych i pobitych. Jak widać z tego, rządy komisji koalicyjnej są nadzwyczajnie **słabe**, Niemcy zaś mają nadzieję **odpolszczyć** przyznaną im połacie Śląska, a **nie dać się wyrugować** z części do nas należącej. Obejmowanie kraju ciągle się **spóźnia**, ale najważniejsza, że parlament niemiecki **zatwierdził** układ w Genewie, czyli, że zgodził się na podział. Ale jak! z manifestacją **żałobną**: chorągiew czarną wywieszono na gmachu parlamentu, przedstawiciele **wszystkich** stronnictw, nawet komuniści, protestowali przeciw „krzywdzie”, jaką Niemcom wyrządzono, niektóre partie głosowały przeciw zatwierdzeniu układu genewskiego. Słowem, był to nietylko placz krokodyli, ale pogroźka panów, chwilowo w karby ujętych, coraz jednak **zuchwałszych**, czy gdy o Polskę chodzi, czy o Francję.

A na domiar wszystkiego Pućkare zawałał się i — **cofnął** rozkaz zajęcia okolic nad Renem. Jak wiadomo, miało to być kara za **ociąganie** się Niemców w zapłatę raty wynagrodzeń wojennych. Już wojsko francuskie było przygotowane, ale widocznie Anglia bardzo ostro się temu **przeciwstawiła**, w parlamencie francuskim **nie poparto** tak energicznie Pućkarego, jak na to **zasługiwał**, w dodatku Lojd Dżorż na wabika wysunął w charakterze niby ministra spraw **zagranicznych** (ale sam trzesie polityką) starego lorda Balfoura. Dobry to człowiek i rozumny, a wielce przyjazny Francji i Polsce, tylko nie tyle gada i nie tak tupie, jak Dawidek, więc nie jest „popularny”. Zresztą, prawda, że Lojd Dżorż za jego politykę w Genewie izba niższa **pochwaliła**, ale, jak czytamy było obecnych tylko 300 posłów na 700. Gdzie tu mowa o głosie całego narodu? Otóż wynikiem pojednawczej, a zarazem ostrzegawczej pod adresem Francji polityki Lojda Dżorża jest **podróż** Pućkarego do Londynu. Jak już pisaaliśmy, Amerykanie chcą **udzielić** Niemcom wielkiej **pożyczki**, ale z warunkiem **ograniczenia** tych odszkodowań **nielegalnych**, które Niemcy są winne antancie. Otóż ponieważ przez **pożyczkę** amerykańską **wypłacalność** Niemiec po-

prawłaby się, więc są głosy we Francji za **zmniejszeniem** tych odszkodowań. I dla ich **ustalenia** Pućkare ma się rozmówić z Anglikiem. Podróż ta dowodzi, że Anglia jest **górami**, mimo że Francja zdobyła sojuszniczkę w Japonii i w żywych jest stosunkach z Ameryką **Północną** (**Jednakową** ma politykę względem Sowietów).

Poza tem na szerokim świecie następujące zaszły **ważniejsze** wypadki: We Włoszech **straszne walki** uzbrojonych czynnych patriotów, zwanych „faszystami” z **czernymi**. Sztandary, kooperatywy, drukarnie i inne zakłady socjalistyczne oraz sami wyznawcy socjalizmu doznają srogich udręczeń ze strony faszystów, którzy chcą ich **zmusić do milczenia** i zaprzestania agitacji. Z obu stron padają ranni i zabici. A walki, choć z przerwami, trwają już rok **drugi**.

Innego rodzaju walki toczą się w Meksyku: co rewolucja przyniesie, nie wiemy, ale **akcjonariusze** kopalni ropy i miedzi meksykańskich są w **strachu**, nie chcielibyśmy **któremukolwiek** czytelnikowi „Przewodnika” strachu napędzać, bo chyba **żaden** z nich tych akcji, zresztą bardzo wartościowych dotąd, **nie posiada?**

Odezwy i zawiadomienia.

— **Miljonówka**. W ciągnięciu dnia 27 maja wylosowano nr. 470 094.

Odpowiedzi Redakcji.

P. J. Th. Wiersz „Ojczyzna moja” bardzo niewyrobiony. Nie umieścimy. — L. Mikołajczak z K. Już kilkakrotnie pisaaliśmy o garbowaniu skór. Niech Pan przejrzy ostatnie roczniki naszego pisma. — M. Kotlarek z K. Jeżeli kupno było prawomocne, to nie można starać się o zwrot. — Adam Kaczmarek, Ostrzeszów. Takich koronek nie znamy. — Cz. Szczepański. Musi Pan udać się do adwokata w tej sprawie. — X., Nowy Tomys. W bieżącym roku jeszcze jedna wyruszy pielgrzymka do Częstochowy. — P. Wł. B. z K. Po ukończeniu państwowego seminarium i prywatnem przygotowaniu musi Pan poddać się egzaminowi maturalnemu. — P. A. J. z W. Wiersze zamieszczamy tylko w „Domu Rodzinnym”, który wychodzi raz na miesiąc jako dodatek do „Przewodnika Katol.” — Kl. T. 100. Do Ameryki pisać nie radzimy, bo to trud daremny. Co do drugiego adres wystarczy: Warszawa, Belweder.

Składkę na koszt wydawnictwa artystycznej podobizny Ojca św. złożyli w dalszym ciągu:

Jewasiński, Poznań 500 mk. Rutkowski, Osięcin 200 mk. P. Frąckowiakowa z Górli par. Brodnickiej 2000 mk. Schmidt, Poznań 100 mk. Piasecki, Poznań 200 mk. Stark, Poznań 20 mk. Bogusławska, Poznań 20 mk.

Składki.

Na misje zagraniczne.

L. B. 300 mk.

Na wojsko polskie.

W. B., Koźmin 15 000 mk.

Na chleb św. Antoniego.

J. Lewicki, Kucharki 300 mk. Radca Niklewicz, Toruń 1000 mk.

Na głodnych.

A. Pawlak, Koryta 1000 mk.

Na berło Matki Boskiej Częstochowskiej.

Kublička-Piotuch, Bydgoszcz 1000 mk.

Na wdowy po poległych bohaterach.

Zebrane z okazji godów małżeńskich Marii Szafranówny i Wojciecha Urbana w Jabłowie parafii Raczkowskiej 16 600 mk.

Na biednych parafii św. Marcina.

H. D. podziękowanie za odebrane zdrowie 2000 mk.

KALENDARZ.

11 czerwca, Niedziela — Barnaby, apostoła. — Bazyliusza, Nabora, Cyryna i Nazarego, męczenników. — 12 czerwca. Poniedziałek — Jana, wyznawcy. — Onufrego, pustelnika. — 13 czerwca. Wtorek — Antoniego z Padwy, wyznawcy. — 14 czerwca. Środa — Bazylego, biskupa i wyzn. — 15 czerwca. Czwartek — Najśw. Serca Jezusowego. — Jolenty, wdowy. — Wita, Modesta i Krescencji, męczenników. — 16 czerwca. Piątek — Benona, biskupa i wyznawcy. — 17 czerwca. Sobota — Adolfa, biskupa i wyznawcy.